

Wspomnienia G.Z. mieszkańca Wileńszczyzny,
wieloletniego katorżnika

10 czerwca 1945 r. zakładowano nas do wagonów, oczywiście towarowych. Wyruszyliśmy w daleką podróż. Z więzienia do stacji w asyście licznego konwoju NKWD szliśmy pieszo żegnając się z ulicami naszego kochanego miasta. Przed odjazdem z Wilna otrzymaliśmy suchy prowiant, który składał się z 3 słonych śledzi, kawałka chleba i 4 kostek cukru. Ponieważ byłem bardzo zgłodniały, ostatnio nie otrzymywaliśmy paczek z domu, a nawet tej więziennej "bałandy" też nie dostaliśmy przed wyjazdem - mówiono, że w zamian otrzymaliśmy suchy prowiant, więc w pierwszym dniu wszystko zjadłem, jak zresztą prawie wszyscy z naszego wagonu. Po zjedzeniu 3 niemoczonych śledzi mieliśmy szalone pragnienie potęgowane przez upał czerwcowy i duchotę w wagonie. Nie było czym oddychać, a wody ani grama nie dali nam w przeciągu 4 dni. Jeżeli padał deszcz, a był właśnie jeden taki dzień, to kolejno podchodziliśmy do zakratowanego okienka, wyciągaliśmy ręce przez kraty i tak lizaliśmy zwilżone dronie. Byliśmy już bardzo osłabieni. Po czterech dniach podróży na jednym z postojów dali wody. Nosili wiadrami. Kolejno podchodziliśmy i piliśmy wprost z wiader, ponieważ żadnych naczyń do picia nie mieliśmy. Po upływie paru dni od tej libacji wodnej, w wagonie już było 4-5 trupów, których na następnym postoju wyrzucano z wagonu. Na każdym postoju, to jest w ciągu doby co najmniej 1 raz NKWD robiła "powierki", czyli liczyli nas. Zganiali nas do jednego końca wagonu, kazali rozbiierać się do naga, a w środku wagonu stało 2-3 "bojcow" i na dole przy drzwiach 5 - 10. Cały ceremoniał liczenia odbywał się następująco: każdy z więźniów musiał przejść oczywiście nago na drugą stronę wagonu, raczej przebiec między bojcami z drewnianymi młotkami, a ci NKWD tymi młotkami bili. Jeżeli ktoś był silniejszy, to szybciej przebiegał i dostawał tych młotków mniej - 3 minimum. Słabi natomiast dostawali więcej, włącznie z potknięciem się czy upadkiem, ponieważ wolniej poruszali się. Dużo zależało od ludzi-bojcow, którzy liczyli. Czasem byli więcej wyrozumiali, młotkami tylko wymachiwali, ale to było bardzo rzadko, może 2 razy tylko. Dłuższym postojem było miasto Wołogda. Tam nas pognali do łaźni, może nie tyle żebyśmy się umyli, ale żeby dać ubranie do dezynfekcji i przy okazji dokonać już może ostatniego rabunku na więźniach. Tam już odebrano wszystko, jeżeli komuś udało się coś jeszcze uchronić. Utrzymanie było bardzo słabe, żeby tylko nie umrzeć z głodu, pocieszali natomiast, że gdy dojedziemy na miejsce przeznaczenia, to tam będą karmić bardzo dobrze. Dokąd wiozą - tej tajemnicy nie zdradzili. Z Wołogdy po dokonaniu wszystkich niezbędnych ceremonii, a więc łaźni, zrobieniu szczegółowej rewizji, przeliczeniu w wagonach po kilka razy, a raczej biciu młotkiem, w końcu otrzymaliśmy trochę do jedzenia i wyruszyliśmy dalej na północ. Teraz wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że miejscem odbywania naszej katorgi będą tereny północne podbiegunowe. Do Workuty przywieźli nas 29-30 czerwca

1945 r. Na głównym punkcie /peresylnyj punkt/ trzymano nas 2-4 dni. W pierwszej kolejności ponumerowano nas, jako że byliśmy "katorżnikami". Ja otrzymałem N T78, Stach T77. Teraz do akcji przystąpili lekarze. Badanie ich polegało na ściągnięciu spodni, a lekarz spojrział, często ręką dotknął, czy jeszcze coś zostało, czy też już były same gnaty sterczące. Według tego dawali kategorię zdrowia : T- ciężka, S-średnia, L-lekka. Według tych kategorii podzielono więźniów do jakich obozów mieli wieść lub gnać piechotą przez tundrę. Zależało to, jak daleko był obóz i czy było czym wieść do miejsca przeznaczenia.

Mnie ze Stachem zakładowali razem z grupą 50- 100 osób do wagonu. Po 3 godzinnej podróży byliśmy już prawie u celu, jeszcze tylko trochę zostało na piechotę przez tundrę do 25 kopalni. Gdy przygnali na miejsce, odbyła się ceremonia przekazania przez konwój według nazwisk, imion i imion ojca i numerów katorżańskich.

Po wpuszczeniu nas do zony oznajmili nam uroczyście : tu będziecie mieszkać i pracować. Serce zamarło na widok jaki otaczał nas. Obszar dosyć spory, otoczony drutem kolczastym, po rogach "wyszki" z naszymi opiekunami, a wewnątrz obozu tylko dwa baraki, raczej szkielety baraków, zamiast dachu obciążone płachtami brezentowymi. Wewnątrz baraków 2 żelazne piecyki. Ponieważ przygnali nas do obozu w godzinach popołudniowych, więc po załatwieniu wszelkich formalności wydali nam obiad i kolację razem, na który składała się zupa, a właściwie woda, w której pływało kilka traw, coś w rodzaju naszego szczawiu, kawałek chleba, jeżeli to chlebem można było nazwać, po 3 małe rybki, tak zwane trulki, a na kolację zapiekanka z kaszy. Staliśmy razem ze Stachem, spojrzeliśmy na siebie, w oczach gorycz i cośkolwiek z rezygnowania i jednocześnie wypowiedzieliśmy : no może tydzień, a najdalej trzy naszego życia. W baraku zajęliśmy miejsca na gołych narach, spać w ubraniach, pod głowę, jeżeli ktoś miał jakąś torbę z pozostałymi jeszcze swoimi nieodebranymi jeszcze rzeczami. Ja miałem torbę. W tej torbie pozostało tylko parę bez podeszew butów, które pozostawili bojesy za moje dobre buty, które ściągnęli z nóg w czasie aresztowania. Płaszczem moim wojskowym, którego jeszcze nie odebrano przykryłem się. Torbę chowałem dopóki mogłem, jako świętość, ponieważ matka ś.p. przysłała w niej ostatnią paczkę. Tak wyglądał pierwszy dzień i pierwsza noc. Następnego dnia rano wydali nam tak zwane śniadanie, na które składało się : czerpak zupy, jeżeli to zupą nazwać można było, parę rybek zgnitych no i kawałek chleba na cały dzień. Po śniadaniu wygnali nas na roboty, porozdzielano na brygady, no i zaczęła się katorga i to prawdziwa. I tak każdego dnia bez żadnego odpoczynku. Nie było żadnych dni wolnych. Po paru dniach w łagrze pognali nas do bani-łaźni, która była przy nie dużym bagnie, oddalona o kilometr od obozu. Po przybyciu na miejsce ubrania i bieliznę oddaliśmy do dezynfekcji a sami poszliśmy myć się. Najpierw ogolono, następnie dostaliśmy może z parę litrów wody i na rękę poleli mydło. Wystarczyło wody i tego mydła na rozmazanie brudu na ciele. Musieliśmy tak stać i czekać aż wyrzucą nam nasze ciuchy. Naszymi bezpośrednimi

zwierzchnikami, jeżeli to tak można nazwać byli Niemcy rosyjscy. Przed naszym przybyciem oni byli właśnie w tej strefie, a gdy nas przygnali, to oni mogli wolno się poruszać i mieszkali na wolnym "posiołku". Jeżeli nadarzała się okazja, to znaczy nie było świadków opowiadali, że Polaków było tu bardzo dużo. Z ich opowiadań wyglądało, że to byli wojskowi, bardzo wielu odbierało sobie życie - samobójstwa były na porządku dziennym, że pod każdym podkładem kolejowym leży po kilku Polaków. Następnie zabrano ich do wojska, jakiego? Takie zdanie w takiej czy innej formie słyszano się bardzo często na innych kopalniach, na których byłem 17 i 1. Na przykład na Kapitałnej kiedy już byłem wolnym to mówiono i pokazywano miejsce zamieszkania jednego Polaka oficera, któremu udało się w jakiś sposób ukryć, że był oficerem i w ten sposób uratował się i wtenczas kiedy była rozmowa miał zajmować dobre stanowisko. Z Polakami nie chciałem się kontaktować, raczej z nieznanymi. Miał własny domek, taką chałupkę, oglądałem ją z bliska. Na 17 jeden z Rosjan, trockista był już naczelnikiem uczastka, nazwiska nie mogę sobie przypomnieć - "Czto Tadek, waszych mnogo było zdies, no i mnogo pod mech poszło". Niemcy byli w zasadzie przyjaźnie ustosunkowani. Czasem dali nawet jakiegoś niedopałka papierosa. Jedzenie bardzo słabe. Nasze marzenia były, żeby tylko się najęść i umrzeć, tak było trudno. Kiedy przyganiłi nas z pracy, to siedząc na narach ze Stachem marzyliśmy, żeby chociaż to nam dali do jedzenia czym karmiono świnie. Co za pycha, mówiliśmy, tak do siebie, kartofle i mąka, jak byśmy to jedli. Czuję, że z dnia na dzień upadam na siłach. Na 25 kopalni byliśmy do jesieni 1945 r.

Pewnego dnia na pracę nas nie wyganiłi, tylko zapowiedzieli, żeby wszystkie swoje rzeczy pakować. Może to nie ściśle wyrażenie spakować swoje rzeczy, przecież właściwie my nic nie mieliśmy, tylko to co na sobie, ale tak nam bojcy mówili, Wkrótce po tej zapowiedzi ruszyliśmy w dalszą drogę przez tundrę do wagonów, które już stały i dalej na 17 kopalnię. Na 17-ej było już 10 baraków. Trochę zrobiło się nam raźniej, gdy weszliśmy do cieplejszych baraków, jak na 25. Odżywianie jednak takie same, nic lepszego, a więc marzenia te same. Jeżeli na 25 byliśmy sami, to znaczy tylko z etapu z Wilna, to już na 17 znaleźliśmy się w towarzystwie innym, nie biorąc pod uwagę narodowości, duży procent kryminalistów i wkrótce to odczuliśmy na własnej skórze. Każdego dnia na powierkę wyganiłi nas na główną drogę w obozie. W czasie takiej powierki, raczej po tej ceremonii liczenia podeszli do nas, to jest do Stacha i mnie dwóch takich niby to łagodnych i niewinnych i zaproponowali nam, żebyśmy się zamienili z nimi ubraniami. My nie mieliśmy jeszcze tych "ciełogrejek" ani spodni, tylko chodziliśmy w tym swoim ubraniu w jakim przyjechaliliśmy, to jest w niemieckim wojskowym zimowym ubraniu. Obiecali nam, że dadzą jeszcze po dwie pajki chleba i k5 "koroboczek" tytoniu. Ja coprawda prawie nie paliłem, chociaż też lubiłem pociągnąć parę dymów, wtenczas w głowie się zakręciło i chociaż na parę minut zapomniało się o tej nędzy. Stach natomiast był palaczem dobrym, chociaż nie nałogowym, więc tytoń też pociągał.

Poszliśmy wszyscy do ich baraku, zamieniliśmy ubraniami, chleb obiecany nam dali. Stachowi dla próby jednego papierosa, dał mnie parę dymów, dobry był razem to stwierdziliśmy. Odmierzili nam, raczej Stachowi zamiast 15 - 20 pudełek tego tytoniu. Szliśmy do swego baraku zadowoleni. Po dojściu do baraku i zapaleniu papierosa z tego tytoniu, radość minęła, okazało się, że to nie był tytoń a mech jak pospolicie nazwano tundrę. Poszliśmy z powrotem do ich baraku, tam dostaliśmy po kilka kijów i to wszystko, musieliśmy się tym zadowolić. Płaszcz wojskowy, który trzymałem w torbie, nawet nie zorientowałem się kiedy ukradli. To były pierwsze kroki stawiane w środowisku na wprost kryminalnym. Zimą 1946 r. późnym wieczorem do obozu przywieźli ziemniaki i kapustę w wagonach węglarkach. Kolej była doprowadzona, oczywiście wąska pod naszą kuchnię. Wszystko było zmarznięte. Udało się mnie uchwycić około 5 kg. zmarzłych kartofli i główkę kapusty. Co za pyszna była zupa z tych kartofli i kapusty, to naprawdę wielkie święto. To wszystko musiałem mocno odchorować. Straszne bóle żołądka. Żadnego zwolnienia z pracy ani też lekarstwa. Dzień pracy 12 godzin, a doprowadzenie i powrót z pracy 2-4 godziny. Byłem u brygadiera Żukowskiego /?/, podawał się za Litwina, chociaż po polsku bardzo dobrze mówił. Był ustosunkowany do nas Polaków możliwie. Dziesiątnikiem był Petkun /?/ właściwie to miał być Polakiem, tylko o sobie nic nie mówił za co siedział i raczej stronił od nas i przyjaźnił się z Litwinami. Praca była bardzo ciężka. Kopanie ziemi pod budowę torów kolejowych, kilof i łopata na przemian, dostarczanie materiału na budowę. Jesienią 1946 r. dowódca wojsk NKWD, którzy nas pilnowali zapotrzebował jednego ślepego, a raczej mówił "półpłotnika", to jest żeby coś nie coś rozumiał z tej dziedziny. Wyznaczyli mnie, chociaż nie miałem zielonego pojęcia o ciesielstwie. Przysłał trzy samochody i bojów dla zabrania materiału i pytał się czy nadaje się na budowę szopy 60 m. długości i 4 m. szerokości, jak się potem okazało strzelnicy. Odpowiedziałem, że tak chociaż nie miałem żadnego pojęcia. Do pracy przy tej budowie strzelnicy wziął więźniów z "buru", to jest ~~zakład~~ tych, którzy byli odizolowani od reszty więźniów i byli zamknięci, to byli kryminaliści, byli sądzeni po kilka razy, a wyroki mieli 20 - 60 lat. Do pracy ich nie ganiłi. Obcowanie z nimi wymagało wielkiej ostrożności, ponieważ narażenie się im o byle co można było wcześniej czy później przypłacić życiem. Było między nimi dwóch Łotyszów, powtórnie byli sądzeni za zabójstwo, w obozie mieli po 60 lat do odsiedzenia, jak mówili zabili brygadzystę. Oni szybko zorientowali się, że nic nie rozumiem - byli fachowcami w tej dziedzinie. Spytałem jakiej jestem narodowości, powiedziałem, że Polak. Odpowiedzieli, że oni też tak myśleli i że ponieważ jestem Polakiem, to mi pomogą. Mnie też na tej budowie strzelnicy zależało, nie trzeba było pracować, a to już bardzo wiele odpocząć z miesiąca czasu. Rzeczywiście przy ich pomocy wystawiliśmy tak jak mówił kapitan NKWD "swój dom".

W obozie wszystkie prawie cięższe prace były obsadzone przez kryminalistów, nam "katorżnikom" można było pracować tylko na najcięższych pracach. W ich rękach była kuchnia, do nich całkowicie należało, czy tam pracowali, czy też nie. Po posiłki po-

syłali kogoś z katorżników, dawali im co było najlepszego na kuchni do jedzenia. Kryminaliści dzielili się na kilka grup, które się nawzajem nienawidziły, zwalczali się walką na śmierć i życie. Śmiertelność była bardzo duża, nawet została utworzona specjalna brygada. Składała się z pókinwalidów; do jej obowiązków oprócz wywożenia trupów należały też prace porządkowe w obozie. Miejscem na składanie trupów przez całą dobę było obok baraku, w którym mieścił się szpital. Każdego dnia rano ładowano na sanie zaopatrzone w wołu, czy byka, to już nie wiem i wywożono w tundrę, rzucano wprost w śnieg, nie grzebano. Bez bielizny i ubrania, tylko numer katorżański wypisany na małej desce przywiązywano drutem do dużego palca prawej nogi. Bardzo częste wypadki były, że wyrzucano ze szpitala jeszcze nie umarłych, a tylko konających ludzi, żeby w ten sposób jeszcze otrzymać jego "pajok" /zamówienie na żywność dzień wcześniej/. Nawet utarła się anegdota, kiedy wynoszono konającego, ten miał się odezwać, był jeszcze przy pamięci, ja jeszcze żyję nie wykoście, a na to odpowiedź, milcz doktor lepiej wiesz.

Patrząc na tę tragedię ludzką myślałem, że w krótkim czasie to spotka i mnie. Byłem bardzo osłabiony, nie mogłem stać na nogach. Nogi były ciężkie, niemożliwością było poruszać się. Problem już był tylko dojść i wrócić z pracy. Często w nocy wyganiaли nas zimą dodatkowo do odrzucania śniegu od linii kolejowej. Pewnego późnego wieczoru zimą 1947 r., gdy naszą brygadę wyganiał do śniegu to już nie mogłem wyjść i oznajmiłem "nariadczykowi" temu co wyganiał do pracy, że nie mogę iść, to wywekli mnie z baraku, a gdy upadłem to skopał mnie a następnie kawałkiem deski "garbul" zaczął okładać i tak wyrzucono mnie siłą za wrota obozu i tak powlokłem się z trudem i bólem do miejsca pracy. Poszedłem do lekarza, namówił mnie Surma, Polak z Wołynia. Na moje skargi nie zwracał uwagi, poznać przyczynę mojej słabości było bardzo łatwo. Dał mi 2 łyżki nawaru z róży dzikiej, kazał zdjąć spodnie, dotknął ręką sterczących kości i wypisał mnie tak zwaną "dopełnitelne", to znaczy dobawkę 2 łyżki kaszy czyli gęstej zupy i 10 g oleju. To mi oczywiście nic nie pomogło, poszedłem powtórnie i wtenczas zapisał mnie do OK "oddychajuszcząja komanda" i już następnego dnia do roboty mnie nie wygnali. Po śniadaniu powlokłem się pod kuchnię, może tam coś da się znaleźć do jedzenia. Kiedy tak szukając czegoś do jedzenia wyszedł kucharz i zaproponował nam, a było nas pięciu, żebyśmy poszli do kuchni do mycia turnipsu, coś w rodzaju naszej brukwi, wszyscy się zgodzili. Gdy weszliśmy radość ogarnęła na widok jaki ujrzelismy: ziemniaki, turnips, buraki, marchew, kapusta. Robiliśmy jak mogliśmy, padając z wycieńczenia i głodu, a jednocześnie jedliśmy kapustę, marchew, ziemniaki krajaliśmy na plasterki i rozkładaliśmy na piec, jeszcze się nie upiekły, a tylko się zagrzały, a już jedliśmy, co za święto mieliśmy. Następnie kucharz przyniósł zupę i kaszę i też zjedliśmy, nie mogliśmy a jedliśmy. To musiałem ciężko odchorować. Pomimo postanowienia, żeby więcej nic nie jeść, a tylko to co dają, bardzo trudno było to postanowienie wykonać, jeżeli nadarzyła się okazja. Pracowałem w kopalni, kiedy przyszliśmy z pracy

z koniecznej zmiany poszliśmy do kuchni po śniadanie, zobaczyłem, że Stach tam sprząta, on też mnie zobaczył, zaczekałem aż wszyscy otrzymają. Następnie poszedłem do okna z trzema kociołami, pożyczylem ich. Stach wszystkie napełnił zupą, kaszą i rybą, prosił żeby za jedną porcję wymienił na papierosa. Zanim on wrócił, to ja już wszystko zjadłem. Wprost nie do wiary. Byłem zgłodniały, nie mogłem a jadłem, nawet nie wymieniłem Stachowi ani jednego papierosa.

Praca w kopalni była bardzo ciężka, w dodatku kopalnia była mokra, woda wprost lała się na pracujących. Nie było możliwości skryć się. W wodzie trzeba było pracować. Ponieważ kopalnia była początkująca, nową dużo prac było betoniarских, które były wykonywane tylko siłą ludzką. Przy układaniu linii kolejowych w kopalni w chodnikach trzeba było kilofem wybić w skale miejsca na podkłady. I tak zmęczony i przemoknięty do ciała wyłaziłem z kopalni do "Suszejki", żeby tam trochę ogrzać się przy żelaznym piecyku zanim pogonią z terenu kopalni do obozu. Ubrania, które mieliśmy na sobie, to jest "ciełogrejki" "busztaty" spodnie wataowane nie były zmieniane, to jest w tym samym ubraniu pracowaliśmy i przemoknięci szliśmy do obozu, który był oddalony od kopalni 1-2 klm. Lepiej było w czasie letnim przejść tę odległość, natomiast bardzo krytycznie przedstawiało się zimą. W mroźne dni lub noc, 20-40 stopni mrozu, jeszcze ra dodatek silnej zawieruchy. W rejonie podbiegunowym Warkucie zawieruchy były bardzo częste. Bardzo częste trzeba było stać przed wartownią całymi godzinami, ponieważ nie mogli się doliczyć grupy "katorżników", których wyprowadzali do pracy. Ktoś gdzieś zasnął, popełnił samobójstwo w kopalni - częste wypadki, albo zginął przy pracy nie zauważony przez kolegów. Bywały też częste wypadki, że konwojenci siedzieli w ciepłym pomieszczeniu i nie śpieszyli się do prowadzenia nas do obozu, żeby w ten sposób jeszcze więcej nas wymęczyć. Szczególnie jeżeli nie był wykonany plan, wtenczas naczelnicy specjalnie kazali w ten sposób z nami postępować. I teraz proszę sobie wyobrazić przemoknięci stać na mrozie do 2 godzin, a to i więcej, ubranie zmarznięte i taki marsz do obozu, dosłownie nie mogliśmy się poruszać i tylko słyszeliśmy "bystrzej" podymajsia" na tych co upadli i ujadanie psów. Katorga za cara, to jeszcze do wytrzymania było, oczywiście w moim pojęciu w porównaniu z osiągnięciami NKWD w stosunku do nas katorżników. Teraz przeliczenie jeszcze przed obozem, wpuszczenie nas do baraków, utrzymanie posiłku, jeżeli wogóle nazwać można było posiłkiem i sen w tym samym ubraniu na gołych narach. Były częste wypadki samobójstw lub kalectw, np. odrąbywanie rąk lub też częściej kilku palców u rąk, żeby w ten sposób dostać katorgę inwalidzką. Ja też myślałem o tym. Według opowiadań tych bez palców to się odbywało w bardzo uproszczony sposób, oczywiście tylko w kopalni. Trzeba było zapalników - brało się w dwa palce podłączało do maszynki, którą odpalano węgiel, podkręciło się do uzyskania prądu - i dwóch palców niema, a to i trzy mogły być oderwane. Coprawda do zapalników mieli dostęp tylko wolni, przeważnie Niemcy, tak zwani "zapalszczyki" ale skombinować było można, oczywiście nie wszystkim. Ponieważ nie miałem

dostępu do tych zapalników, postanowiłem w inny sposób, mianowicie palec u lewej ręki umyślnie włożyłem w tryb "lulki" /specjalny wagon którym wyciągano węgiel lub też kamień na hałdy i tam wywracano. Palec był zmiażdżony, myślałem, że będą amputować. Mało tego, gdy z palcem się nie udało próbowałem złamać rękę lewą. Gdy w pracy byłem sam wzięłem cegłę i uderzając w rękę chciałem w taki sposób złamać rękę i to się nie udało. Uderzyłem kilka razy, ból straszny, ręka zsiniała i obrzękła, miałem dwa tygodnie zwolnienia. Więcej już nie próbowałem, chociaż patrząc na więźniów bez rąk, czy też bez kilku palców w ręku, którzy nie pracowali zazdrościłem i bardzo, szczególnie tym, którym było tylko kilku palców brak. Niektórzy mieli trochę lepiej, pracę łatwiejszą, nie byli głodni, ale to był mały procent tych szczęśliwców. Coprawda w jednym i tym samym obozie, a każdy miał inne warunki, inaczej przeżywał tę katorgę.

W końcu 1947 r. czy początek 1948 r. otrzymałem pierwszy raz bieliznę. Dotychczas to nosiłem bieliznę w jakiej przyjechałem, coprawda to nie można było nazwać już bielizną, ale tylko szmatą przez siebie łataną śmierdzącą od "powierki". Wszy też nie były nowością, mieliśmy ich pełno, pomimo częstych dezynfekcji. Otrzymanie w łazni nowej wybudowanej bielizny sprawiło wielką radość. Otrzymaliśmy także mniej więcej w tym czasie ubranie drugie do pracy w kopalni. Mało tego, otrzymałem także worek do którego napchałem wiór z drewna i to miał być materac pod głowę, coś podobnego tylko w mniejszym rozmiarze. Natomiast jeśli chodzi o odżywianie, to się nic nie polepszyło, ciągle byliśmy zgłodniałi i wycieńczeni z głodu i pracy. Pamiętam, jak w kwietniu 1948 r. musiałem pójść już będąc w pracy na terenie kopalni do technicznego składu po narzędzia potrzebne w kopalni do układania tam torów. Podczas nieobecności magazyniera udało mi się wziąć do papieru trochę smaru do maszyn. Coś podobnego do towotu - był gęsty. Cóż to była za uroczystość po przyjsciu z pracy. Ze Stachem roztopiliśmy to w kociołku i ostrożnie maczając chleb jedliśmy. Skojarzyliśmy to ze świętem Wielkiejnocy, ponieważ najczęściej w kwietniu było. Nie wiedzieliśmy kiedy miało być święto, czy już było. Obawialiśmy się, że może to zaszkodzić, nawet myśli były, że można to było przypłacić życiem, ale głód przewyciężył strach. Nie chorowaliśmy po tej libacji. Jedliśmy to bardzo ostrożnie i z rozwagą rozłożyliśmy to na kilka dni.

Ażeby nas łatwiej było utrzymać w porządku, z drugiej strony jak najwięcej z nas wyciągnąć, jeżeli chodzi o pracę, pojawiały się w pewnych odstępach czasu tak zwane "pewne" plotki oczywiście puszczone przez NKWD, a to że będą nas zwalniać, a to że w ZSRR będą zmiany ustroju itd. itd. Bardzo dużo plotek było w pierwszych latach naszej katorgi, potem to już spowszedniały i nikt nie wierzył.

W połowie 1948 r. zaczęły krążyć pogłoski o tworzeniu "reczłagów", do których mieli wywieźć katorżników. W łagrach nie li być tylko kryminaliści "zakluczeni". Właśnie 17 kopalnia miała

być łagrem. Już wczesną jesienią zaczęli nas wywozić. Żal, a zarazem strach mnie ogarnął, że trzeba będzie opuścić tę kopalnię. Skoro w łagrze, to jest na 17 bardzo ciężkie były warunki życiowe, to co dopiero w "reczłagach", tak sobie myślałem. Następnie żal będzie rozstać się z rodakami, a nawet może z bratem. Polonia w obozie 17 była mała. Pamiętam ś.p. Zygmunta Kierzują /?/, którego musiałem znać na wolności, ponieważ był on w czasie konspiracji związany z Turgielami i okolicą w dawnym powiecie Wileńsko-Troczkim i właśnie na tamym terenie były placówki konspiracyjne pod moją komendą. Dlaczego nie poznałem w obozie? - może dlatego, że się bardzo zmienił i na przeszłe tematy nigdy nie rozmawialiśmy. Było też kilku Polaków, którzy się nie przyznawali że są Polakami sądząc, że może lepiej będzie przetrwać katogę. Była grupa, co bardzo trudno było wywnioskować kim właściwie oni są. Było paru, którzy mówili, że są Polakami - lecz sądzeni jako kryminaliści. I wreszcie grupa Polaków, którzy prawie nie rozmawiali po polsku, nie umieli, a byli sądzeni za przynależność do AK. W rozmowie w cztery oczy podkreślali, że są Polakami, chętnie garnęli się do nas, oburzali się jeżeli ich nie uważano za Polaków. Żal było "chleborezki" /chleb wydawano/, pracował jeden z Polski, prawdopodobnie ksiądz, chociaż nigdy na ten temat nie rozmawiałem, odmawiał brewiarz, po tym sądziłem, że był księdzem. Jeżeli nadarzyła się okazja, to zawsze dał kawałek chleba, względnie swój talb na obiad. Wreszcie nawet żal mi było mego małego scyzoryka, w jaki sposób go zdobyłem, to już nie pamiętam, a był bardzo potrzebny. Podczas rewizji nie da się go nigdzie ukryć. Każdego dnia odchodziły etapy do reczłagów. Pogłoski, że będzie jeszcze gorzej w tych reczłagach jak było obecnie na 17-tej, dobijało to nas, traciliśmy nadzieję na przetrwanie tej katogi. Wreszcie przyszła kolej i na nas, to jest na mnie i na Stacha, nie rozłączyli nas. Razem zabrali nas do izolatora i tam siedzieliśmy przez całą noc. Następnego dnia we wczesnych godzinach, po szczegółowej rewizji wygnali nas z obozu do wagonu, który stał już przygotowany. Przywieziono nas na Kapitałną, czyli pierwszą. Była to kopalnia "niekategoryjna" to znaczy duży procent gazu i trudna w eksploatacji. Dowiedziałem się, że kopalnia na której warunki pracy były trudniejsze, to reczłagi, natomiast na nowych kopalniach lepsze warunki pracy - łagry N 17 /?/. Był duży procent kryminalistów i tym samym "pryduków", więźniów nie pracujących kosztem innych. Zakłuczeni kryminaliści "Błatnyje", "pryduki" to była plaga i trzeba było bardzo uważać, żeby im się nie narazić, trzeba było nieraz znosić wszelkie upokorzenia, żeby tylko cało wyjść z życiem. Ten element pozbawiony był wszelkich skrupułów, zdolni do wszelkiego rodzaju sadyzmu. Pewnego dnia przyjęli etap w liczbie około 20 osób, sami kryminaliści i już trzeciej nocy zarabali kilku kucharzy i okradli skład żywnościowy. W naszym baraku mieszkał jeden "błatnoj". To grał w karty z innymi takimi samymi, zawsze przegrywał, aż wreszcie przegrał jednego kucharzy - musiał go zabić, nie wykonał tego, wobec czego jego zabili, zaczęli zakłuli, 19 ran nożami. Byli w bardzo dobrych stosunkach z NKWD, wszystko prawie uchodziło bezkarnie. Mieli dobrą łączność

z innymi obozami. Była to warstwa uprzywilejowana. Na Kapitałnej tego elementu było mniej, raczej bardzo mały procent. Natomiast duży procent Ukraińców z naszych byłych terenów. Byli bardzo wrogo usposobieni do nas Polaków. Pamiętam parę miesięcy po przybyciu na Kapitałną chorowałem. Umieszczono mnie w baraku izolatora dlatego, że nie była ustalona diagnoza choroby i że przybyłem z innego obozu. Leżąc tak między Ukraińcami słuchałem ich opowiadań o wyczynach sadystycznych wobec Polaków. I tak szczególnie jeden dał mi się zapamiętać. Opowiada Piotr Sawozuk: "Wysłano nas do wymordowania rodziny Polaków, która miała mieszkać w pobliżu wsi na zaścianku, gdy przyszedli, opowiada, zastali rodzinę prawie w komplecie i wkrótce przystąpili do mordowania. Nie strzelali, bo jak opowiadał, szkoda było kul na Lachów, tylko toporami, siekierami. Po wymordowaniu rodziny okazało się, że nie mogli znaleźć jednej z córek tej nieszczęśliwej rodziny. Nie było jej w tym czasie w domu. Nazajutrz, opowiada dalej, dowiedzieliśmy się, że przyszła ze znajomymi, krewnymi pogrzebali pomordowanych i normalnie mieszkała w swoim domu. Wtenczas oni, to jest Ukraińcy, otrzymali rozkaz, jak opowiada, ze sztabu, żeby pójść i przyprowadzić ją do tego tak zwanego sztabu. Gdy przyszedli zastali ją w łóżku, wstawaj wykrzykiwali, lecz ona jak gdyby nie rozumiejąc nic, nie wstała. Powtórzyli "wstawaj suko!" Ze strachem wstała, ubrała się, a na nogi wciągnęła polskie "tufle" na wysokich kabłakach". Zaprowadzili ją do sztabu, w sztabie coś z nią porozmawiali, a następnie wyprowadzili ją na kryłce-ganek i dali znać, żeby ją zamordować. Ciągnęli ją do lasu dębowego i tam kazali kłaść się jej na pień dębowy. Zaczęła płakać, prosić, całować nogi. "Kładź się suko" tymi słowami siłą kładą na pień, przyścisną ją nogami, przeszywają bagnietami. Może jeszcze coś więcej opowiadał, zamroczył mi coś w głowie z tego co usłyszałem. Jeden z tych oprawców wypowiedział ironicznym tonem: "Lach" wskazując na mnie palcem. Bardzo często trzeba było znosić upokorzenia słuchając opowiadań coś w rodzaju wyżej wymienionego, nic nie można było przeciwstawić, ponieważ naraziłoby to na większe jeszcze szykany. W kopalni przy naprawianiu torów pracowałem z jednym Ukraińcem. W pewnej chwili podchodzi kilku tych i mówią: "Co ty z Lachem pracujesz?" i bez żadnej przyczyny uderzyli mnie w twarz kilka razy, straciłem przytomność. Po odzyskaniu przytomności otarłem brudnym rękawem twarz z błota, krwi i łez. Musiałem pracować dalej nie mogąc nawet podzielić się z kimś swoim bólem fizycznym i moralnym. Innego znowuż dnia w kopalni Netrepski Stefan podchodzi i wrzeszczy: "ty polska mordo musisz lepiej pracować!" i uderza kilka razy w skroń, w twarz. W głowie szum, w oczach łzy. Żeby zacisnąć nie mówiąc ani słowa, ponieważ to naraziłoby na jeszcze większe szykany i bicie. Co prawda nie można powiedzieć, żeby takie sceny z Ukraińcami działy się wszędzie. W brygadach, gdzie było po kilku Polaków plus do tego inne narodowości, które przyjaźniły się z nami, albo chociaż nie byli wrogo ustosunkowani do nas, jak Estończycy, Finowie /mało było/ Węgrzy, Rumuni, Łotyśkie, Litwini, narody zakaukaskie. Tylko z tymi ostatnimi to trzeba było umiejętnie żyć. Jeżeli darzyli zaufaniem, nie można było

im się w niczym narazić, trzeba było szanować ich kulturę, zwyczaje i obyczaje, a wtenczas miało się dobrych przyjaciół. Nie odozuwało się tych banderowców na pracach, szpitalach, magazynach, wewnątrz obozu. Właściwie takie historie opisane wyżej działały się, jak mówią Rosjanie na "obszocznych rabotach".

Ponieważ bardzo dużo nas katorżników już wyginęło do 1948 r. wobec czego po przywiezieniu nas na kapitalną zostaliśmy przenumerowani, ja otrzymałem Nr. T 255, Stach T 254. Nas Polaków było dosyć sporo, rozproszonych po całym obozie, tak że trudne mnie ocenić w liczbach. Ci co pracowali w obozie - w zenie mieli warunki lepsze. Ci spotykali się z sobą przy każdej okazji. Natomiast pracujący w kopalni czy budownictwie i ogólnych pracach, mniej lub też unikali wszelkich kontaktów. W "chlebeserkie" pracował Załuga /?/ podający się za wielkiego patriotę Polaka. Czasem chodziłem do niego żeby zarobić kawałek chleba. Szybko zorientowałem się, że to czarny typ współpracujący z NKWD. Zaprosił mnie na spotkanie naszych redaktorów, które miały się odbywać według niego dosyć często, wymieniając nazwiska tych, którzy przychodzili na te spotkania na czele z naczelnikiem, czy jak ją tytułować "specerasoi", która miała na imię Wanda, miała być z rodziny polskiej według Załugi, co jak się okazało później był to oszukańczy podstęp. Na prośbę Załugi żebym przychodził na te zebrania posłuchać patriotycznych wierszy, zawsze dawałem odpowiedzi negatywne, ale nie zrażając go do siebie, ponieważ za każdą pomoc przy sprzątnięciu płacił jedną pajkę chleba, a nawet i dwie. W czasie aresztowania, oczywiście i przed aresztowaniem za te zbiórki Załuga starał się aby jak największe grono popadło w więzieniu do więzienia, dlatego tak gorąco zachęcał mnie do wzięcia udziału w tych patriotycznych zebraniach. Popadł też mój brat Stach do więzienia, który go nawet nie znał, lecz Załuga imienia pokręcił i zamiast mnie, to jest Czesława, podał Stacha. Już od tego momentu nas rozłączyli. Spotkaliśmy się dopiero po zwolnieniu nas z więzienia. Na Kapitalnej warunki życiowe może były trochę lepsze jak na 17, właściwie może lepszy był porządek na kuchni, ale żeby zaspokoić głód trzeba było jeszcze czekać parę lat. Kiedy przychodziłem z pracy zmęczony, głodny i gdy już siedziałem na swoich narach, to często przysiadał się do mnie na przyjacielskie pogawędki "niewolny" baraku, nauczyciel ukraiński gdzieś od Kijewa. Nie miał wspólnego z Ukraińcami z naszych terenów. Mówił często, raczej powtarzał Czesław Stanisławowicz nada umieć żyć w Socwieckim Sejuzie; myślałem jak to umieć żyć. On robił "mestyrkę" na nodze, otrzymywał tytuł z domu, sprzedawał na kuchni i magazynach, nie pracował ponieważ miał kategorię inwalidzką, najedzony, czyste ubrany, wypoczęty, a ja jak mogłem ~~nie~~ umieć żyć, w przeciągu całej odbytej katorgi, to jest przez 11 lat otrzymałem tylko 3 paczki w pierwszych latach katorgi, "mestyрки" nie chciałem robić, właściwie zaniechałem od chwili kiedy to na 17 próbowałem odciąć palec z lewej ręki, a następnie łamać rękę. Uważałem, że mnie nie nie zostało tylko cierpliwie znieść te czym mnie los obdarzył, to jest katorgę, czekać jakiegoś zniknięcia.

W niedługim czasie po rozstaniu się ze Stachem uległem wypadkowi w kopalni. Pracując przy przedłużaniu chodnika przywaliło mnie. Z kopalni wynieśli nieprzytomnego. Miałem złamaną rękę, 4 żebra w prawym boku i płuca przebite. Przytomność odzyskałem po 20 godzinach. W szpitalu położyli mnie obok Roszkowskiego Władysława, który w tym czasie był w szpitalu. Całą noc mną się opiekował, przewracał, sadzał. Oprócz bóli ciężko było oddychać, ponieważ krew szła ustami. Opiekę lekarską miałem dobrą. Nasz lekarz ś.p. doktor Dobrzański, Szczerski, Litwin Żwirblis no i główny lekarz NKWD Taburowa /?/. Mówili, że była Żydówką ze Lwowa, nie wiem ile było prawdy, fakt jest, że do nas Polaków odnosiła się dobrze. Żeby nie było zakażenia, otrzymywałem zastrzyki co 3 godziny. Po paru miesiącach ręka i żebra były już prawie w porządku. Płuca natomiast przez długi czas nie pompewały powietrza. Dopiero po operacji coś się polepszyło. Jednak skutki tego do dzisiejszego dnia odczuwam. Dostałem kategorię inwalidzką i pracowałem w szpitalu przy doktorze Dobrzańskim. Już nie byłem głodny, starałem się tylko teraz, żeby pomóc swoim w czym mogłem - kawałkiem chleba lub czerpakiem zupy.

W kilka miesięcy później, po wypadku, do obozu przygnali 3 uciekinierów. Inie byłoby nic do czego, tylko to, że po raz pierwszy postąpiono z uciekinierami w sposób ludzki. Prowadzali przez kilka godzin po obozie, ażeby pokazać katorżnikom, że jednak przed NKWD nikt nie ucieknie. Z kopalni uciekli, jak się okazało przez cały rok kopalni wyjście, udało się co prawda wyjść, ale daleko nie odeszli i już byli w łapach NKWD. Próby ucieczki na 17 były 4, jednak żadna nie doszła do skutku, to jest udało się uciec, ale po krótkim pościgu zawsze wynikiem byli w NKWD. Z uciekinierami postępowano w sposób bardzo nieludzki, sadystyczny, nie zabijano lecz męczono, to było widoczne na trupach ręce i nogi powykręcane, połamane, ciała w sińcach. Następnie te trupy wyrzucano przed bramę do obozu i leżały tak kilka tygodni ażeby wzbudzić postrach u więźniów. Dlatego postępowanie z uciekinierami na Kapitałnej wzbudziło zaciekawienie. Oczywiście co dalej z nimi zrobiono to zostało dla mnie tajemnicą.

Po śmierci Stalina warunki życiowe zaczęły się poprawiać, chociaż w bardzo wolnym tempie. Natomiast wyraźnej poprawie uległo nasze życie po stłumieniu strajku na niektórych kopalniach. Miało zginąć około 400 osób. Według pogłosek to też mniej więcej w tym czasie w obozach nieworkuckich, jeszcze dalej wysunętych na północ miały być rozruchy na większą skalę, deszło do buntów.

H. Czesław Zdziankiewicz

Czesław Zdaniukiewicz

Wspomnienie C.Z. mieszkańca Wileńszczyzny, wieloletniego katorżnika.

© ARCHIWUM WSCHODNIE

10 czerwca 1945 r. załadowano nas do wagonów, oczywiście towarowych. Wyruszyliśmy w daleką podróż. Z więzienia do stacji w asyście licznych konwoju NKWD szliśmy pieszo, pognając się z ulicami naszego kochanego miasta. Przed odjazdem z Wilna otrzymaliśmy suchy prowiant, który składał się z trzech słonych śledzi, kawałka chleba i 4 kostek cukru. Ponieważ byłem bardzo złodniały, ostatnio nie otrzymywałem paczek z domu, a nawet tej więziennej "bałandy" też nie dostaliśmy przed wyjazdem - mówiono, że w zamian otrzymaliśmy suchy prowiant, więc w pierwszym dniu wszystko zjadłem, jak zresztą prawie wszyscy z naszego wagonu. Po zjedzeniu 3 niemoczonych śledzi mieliśmy szalone pragnienie, potęgowane przez upał ~~markowy~~ czerwcowy i duchotę w wagonie. Nie było czym oddychać, a wody ani grama nie dali nam w przeciagu 4 dni. Jeżeli padał deszcz, a był właśnie jeden taki dzień, to kolejno podchodziliśmy do zakratowanego okienka, wyciągaliśmy ręce przez kraty i tak lizaliśmy zwilżone łonie. Byliśmy już bardzo osłabieni. Po czterech dniach podróży na jednym z postojów dali nam wody. Nosili wiadrami. Kolejno podchodziliśmy i piliśmy wprost z wiader, ponieważ żadnych naczyń do picia nie mieliśmy. Po upływie paru dni od tej libacji wodnej, w wagonie już było 4-5 trupów, których na następnym postoju wyrzucono z wagonu. Na każdym postoju, to jest w ciągu doby co najmniej 1 raz, NKWD robiła "powierki", czyli liczyli nas. Zganiali nas do jednego końca wagonu, kazali rozbierać się do naga, a w środku wagonu stało 2-3 "bojcow" i na dole przy drzwiach 5-10. Cały ceremoniał liczenia odbywał się następująco: każdy z więźniów musiał przejść oczywiście nago na drugą stronę wagonu, raczej przebiec między bojcami z drewnianymi młotkami, a ci z NKWD tymi młotkami bili. Jeżeli ktoś był silniejszy, to szybciej przebiegał i dostawał tych młotków mniej - 3 minimum. Słabi natomiast dostawali więcej, włącznie z potknięciem się czy upadkiem, ponieważ wolniej poruszali się. Dużo zależało od ludzi-bojcow, którzy liczyli. Czasem byli więcej wyrozumiali, młotka i tylko wymachiwali, ale to było bardzo rzadko, może 2 razy tylko. Dłuższym postojem było miasto Wołogda. Tam nas pognali do łaźni, może nie tyle żebyśmy się umyli, ale żeby dać ubranie do dezynfekcji i przy okazji dokonać już może ostatniego rabunku na więźniach. Tam już odebrano wszystko, jeżeli komuś udało się coś jeszcze uchronić. Utrzymanie było bardzo słabe, żeby tylko nie umrzeć z głodu, pocieszali natomiast, że gdy dojedziemy na miejsce przeznaczenia, to tam będą karmić bardzo dobrze. Dokąd wiozą - tej tajemnicy nie zdradzili. Z Wołogdy do dokonaniu wszystkich niezbędnych ceremonii, a więc łaźni, zrobieniu szczegółowej rewizji, przeliczeniu w wagonach po kilka razy, a raczej biciu młotkiem, w końcu otrzymaliśmy trochę do jedzenia i wyruszyliśmy dalej na północ. Teraz wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że miejscem odbywania naszej katorgi będą tereny północne podbiegunowe. Do Workuty przywieźli nas 29-30 czerwca 1945 r. Na głównym punkcie (peresylnyj punkt) trzymano nas 2-4 dni. W pierwszej kolejności ponumerowano nas, jako że byliśmy "katorżnikami". Ja otrzymałem N T78, Stach T77. Teraz do akcji przystąpili lekarze. Badanie ich polegało na ściąganiu spodni, a lekarz spojrzął, często ręką dotknął, czy jeszcze coś zostało, czy też już były same gnaty sterczące. Według tego dawali kategorię zdrowia: T - ciężka, S - średnia, L - lekka. Według tych kategorii podzielono więźniów do jakich obozów mieli wieźć lub gnać piechotą przez tundrę. Zależało to, jak daleko był obóz i czy było czym wieźć do miejsca przeznaczenia.

Mnie ze Stachem załadowali razem z grupą 50-100 osób do wagonu. Po 3 godzinnej podróży byliśmy już prawie u celu, jeszcze tylko trochę zostało ~~maszku~~ na piechotę przez tundrę do 25 kopalni. Gdy przygnali na miejsce, odbyła się czeremonia przekazania przez konwój według nazwisk, imion i imion ojca i numerów katorżniczych. Po wpuszczeniu nas do zony

oznajmili nam uroczyście: tu będziecie mieszkac i pracować. Serce zamarło na widok jaki otaczał nas. Obszar dosyć spory, otoczony drutem kolczastym, po rogach "wyszki" z naszymi opiekunami, a wewnątrz obozu tylko dwa baraki, raczej szkielety baraków, zamiast dachu obciążnięto płachtami brezentowymi. Wewnątrz baraków dwa żelazne piecyki. Ponieważ przygnano nas do obozu w godzinach popołudniowych, więc po załatwieniu wszelkich formalności wydali nam obiad i kolację razem, na który składała się zupa, a właściwie woda, w której pływało kilka traw, coś w rodzaju naszego szczawiu, kawałek chleba, jeżeli to chlebem można było nazwać, po 3 małe rybki, tak zwane trulki, a na kolację zapiekanka z kaszy. Staliśmy razem ze Stachem, spojrzeliśmy na siebie, w oczach gorycz i cośkolwiek z rezygnowania i jednocześnie wypowiedzieliśmy: no może tydzień, a najdalej trzy naszego życia. W baraku zajęliśmy miejsca na gołych narach, spać w ubraniach, pod głowę, jeżeli ktoś miał jakąś torbę z pozostałymi jeszcze swoimi nieodebranymi rzeczami. Ja miałem torbę. W tej torbie zostało jeszcze parę butów bez podeszw, które pozostawili bojcy za moje dobre buty, które ściągnęli z nóg w czasie aresztowania. Płaszczem moim wojskowym, którego jeszcze nie odebrano, przykryłem się. Torbę chowałem dopóki mogłem, jako świętość, ponieważ ratka śp. przysłała w niej ostatnią paczkę. Tak wyglądał pierwszy dzień i pierwsza noc. Następnego dnia rano wydali nam tak zwane śniadanie, na które składało się: czerpak zupy, jeżeli to zupą nazwać można było, parę rybek zgnitych no i kawałek chleba na cały dzień. Po śniadaniu wygnali nas na roboty, porozdzielano na brygady, noż i zaczęła się katorga i to prawdziwa. I tak każdego dnia bez żadnego odpoczynku. Nie było żadnych dni wolnych. Po paru dniach w łagrze pognali nas do bani-łaźni, która była przy niedużym bagnie, oddalona o kilometr od obozu. Po przybyciu na miejsce ubrania z bielizną oddaliśmy do dezynfekcji, a sami poszliśmy myć się. Najpierw ogolono, następnie dostaliśmy może z parę litrów wody i na ręce poleli mydło. Wystarczyło wody i tego mydła na rozmazanie brudu na ciele. Musielismy tak stać i czekać aż wyrzucą nam nasze ciuchy. Naszymi bezpośrednimi zwierzchnikami, jeżeli to tak można nazwać, byli Niemcy rosyjscy. Przed naszym przybyciem oni byli właśnie w tej strefie, a gdy nas przygnali, to oni mogli wolno się poruszać i mieszkali na wolnym "posiołku". Jeżeli nadarzała się okazja, to znaczy nie było świadków, opowiadali, że Polaków było tu bardzo dużo. Z ich opowiadań wyglądało, że to byli wojskowi, bardzo wielu odbierało sobie życie - samobójstwa były na porządku dziennym, że pod każdym podkładem leży po kilku Polaków. Następnie zabrano ich do wojska, jakiego? Takie zdanie w takiej czy innej formie słyszało się bardzo często na innych kopalniach, na których byłem 17 i 1. Na przykład na Kapi-talnej, kiedy już byłem wolnym, to mówiono i pokazywano miejsce zamieszkania jednego Polaka oficera, któremu udało się w jakiś sposób ukryć, że był oficerem i w ten sposób uratował się i wtenczas kiedy była rozmowa miał zajmować dobre stanowisko. Z Polakami nie chciał się kontaktować, raczej z nieznajomymi. Miał własny domek, taką chałupkę, oglądałem ją z bliska. Na 17 jeden z Rosjan, trockista, był już naczelnikiem uczastka, nazwiska nie mogę sobie przypomnieć - "Czto Tadek, waszych mnogo było zdies' no i mnogo pod mech poszło". Niemcy byli przeważnie przyjaźnie ustosunkowani. Czasem dali nawet jakiegoś niedopałka papierosa. Jedzenie bardzo słabe. Nasze marzenia były, żeby tylko się najeść i umrzeć, tak było trudno. Kiedy przygnali nas z pracy, to siedząc na marach ze Stachem marzyliśmy, żeby chociaż to nam dali do jedzenia czym karmili świnie. Co za pycha, mówiliśmy tak do siebie, kartofle i mąka, jak byśmy to jedli. Czuję, że z dnia na dzień upadam na siłach. Na 25 kopalni byliśmy do jesieni 1945 r.

Pewnego dnia na pracę nas nie wygnali, tylko zapowiedzieli, żeby wszystkie swoje rzeczy pakować. Może to nieścisłe wyrażenie spakować swoje rzeczy, przecie właściwie nic nie mieliśmy, tyle tylko co na sobie, ale tak nam bojcy mówili. W rózce po tej zapowiedzi ruszyliśmy w dalszą drogę przez tundrę do wagonów, które już stały i dalej na 17 kopalnię.

Na 17-tej było już 10 baraków. Trochę zrobiło się nam razniej, gdy weszliśmy do cieplejszych baraków, jak na 25. Odżywianie jednak było takie same, nic lepszego, a więc marzenia takie same. Jeżeli na 25 byliśmy sami, to znaczy tylko z etapu z Wilna, to już na 17 znaleźliśmy się w towarzystwie innym, nie biorąc pod uwagę narodowości, duży procent kryminalistów i wkrótce to odczuliśmy na własnej skórze. Każdego dnia na powierkę wyganiaли nas na główną drogę w obozie. W czasie takiej powierki, raczej po tej ceremonii liczenia, podeszło do nas, to jest do Stacha i mnie dwóch takich niby to łagodnych i niewinnych i zaproponowali nam, żebyśmy się zamienili z nimi ubraniami. My nie mieliśmy jeszcze tych "ciełogrejek" ani spodni, tylko chodziliśmy w tym swoim ubraniu w jakim przyjechaliśmy, to jest w niemieckim wojskowym zimowym ubraniu. Obiecali nam, że dadzą jeszcze po dwie pajki chleba i 15 "koroboczek" tytoniu. Ja co prawda prawie nie paliłem, chociaż też lubiłem pociągnąć parę dymów, wtenczas w głowie się zakręciło i chociaż na parę minut zapomniało się o tej nędzy. Stach natomiast był palaczem dobrym, chociaż nie nałogowym, więc tyton też pociągał. Poszliśmy wszyscy do ich baraku, zamieniliśmy się ubraniami, chleb obiecany nam dali. Stachowi dla próby jednego papierosa, dał mnie parę dymów, dobry był, razem to stwierdziliśmy. Odmierzili nam, raczej Stachowi zamiast 15 - 20 pudełek tego tytoniu. Szliśmy do swego baraku zadowoleni. Po dojściu do baraku i zapaleniu papierosa z tego tytoniu, radość minęła, okazało się, że to nie był tyton, a mech, jak pospolicie nazywano tundrę. Poszliśmy z powrotem do ich baraku, tam dostaliśmy po kilka kijów i to wszystko, musieliśmy się tym zadowolić. Płaszcz wojskowy, który trzymałem w torbie nawet nie zorientowałem się kiedy ukradli. To były pierwsze kroki stawiane w środowisku na wprost kryminalnym. Zimą 1946 r. późnym wieczorem do obozu przywieźli ziemniaki i kapustę w wagonach węglarkach. Kolej była doprowadzona, oczywiście wąska, pod naszą kuchnię. Wszystko było zmarznięte. Udało się mnie uchwycić około 5 kg zmarzłych kartofli i główkę kapusty. Co za pyszna była zupa z tych kartofli i kapusty. To naprawdę wielkie święto. To wszystko musiałem mocno odchorować. Straszne bóle żołądka. Żadnego zwolnienia z pracy ani też lekarstwa. Dzień pracy 12 godzin, a doprowadzenie i powrót z pracy 2-4 godzin. Byłem u brygadiera Łukowskiego (?), podawał się za Litwina, chociaż po polsku bardzo dobrze mówił. Był ustosunkowany do nas Polaków możliwie. Dziesiątnikiem był Petkun(?), właściwie to miał być Polakiem, tylko o sobie nic nie mówił, za co siedział i raczej stronił od nas i przyjaźnił się z Litwinami. Praca była bardzo ciężka. Kopanie ziemi pod budowę torów kolejowych, kilof i łopata na przemian, dostarczanie materiału na budowę. Jesienią 1946 r. dowódca wojsk NKWD, którzy nas pilnowali zapotrzebował jednego cieślę, a raczej mówił "półplotnika", to jest, żeby coś niecoś rozumiał z tej dziedziny. Wyznaczyli mnie, chociaż nie miałem zielonego pojęcia o ciesielstwie. Przysłał trzy samochody i bojców dla zabrania materiału i pytał czy nadaje się na budowę szopy 60 m długości i 4 m szerokości, jak się potem okazało strzelnicy. Odpowiedziałem, że tak, chociaż nie miałem żadnego pojęcia. Do pracy przy tej budowie strzelnicy wziął więźniów z "buru", to jest tych, którzy byli odizolowani od reszty więźniów i byli zamknięci, to byli kryminaliści, byli sądzeni po kilka razy, a wyroki mieli 20 - 60 lat. Do pracy ich nie ganiłi. Obcowanie z nimi wymagało wielkiej ostrożności, ponieważ narażenie się im o byle co, można było wcześniej czy później przypłacić życiem. Było między nimi dwóch potyszów, powtórnie byli sądzeni za zabójstwo, w obozie mieli po 60 lat do odsiedzenia, jak mówili, zabili brygadzystę. Oni szybko zorientowali się, że nic nie rozumiem - byli fachowcami w tej dziedzinie. Spytałi jakiej jestem narodowości, powiedziałem, że Polak. Odpowiedzieli, że oni też tak myśleli i że ponieważ jestem Polakiem to oni mi pomogą. Mnie też na tej budowie strzelnicy zależało, nie trzeba było pracować, a to już bardzo wiele, od-począć z miesiąc czasu. Rzeczywiście przy ich pomocy wystawiliśmy, tak jak mówił kapitan NKWD, "swój dom".

W obozie wszystkie prawie cięższe prace były obsadzone przez kryminalistów, nam, "katorżników", można było pracować tylko na najcięższych pracach. W ich rękach była kuchnia, do nich całkowicie należało, czy tam pracowali, czy też nie. Po posiłki posyłali kogoś z katorżników, dawali im co było najlepszego na kuchni do jedzenia. Kryminaliści dzielili się na kilka grup, które się nawzajem nienawidziły, zwalczali się walką na śmierć i życie. Śmiertelność była bardzo duża, nawet została utworzona specjalna brygada. Składała się z półinwalidów; do jej obowiązków oprócz wywożenia trupów należały też prace porządkowe w obozie. Miejscem na składanie trupów przez całą dobę było obok baraku, w którym mieścił się szpital. Każdego dnia ładowano na sanie zaprzężone w wołu czy byka, to już nie wiem i wywożono w tundrę, rzucano wprost w śnieg nie grzebano. Bez bielizny i ubrania, tylko numer katorżański wypisany na małej desce przywiązywano drutem do dużego palca prawej nogi. Bardzo częste wypadki były, że wyrzucano ze szpitala jeszcze nie umarłych, a tylko konających ludzi, żeby w ten sposób jeszcze otrzymać jego "pajok" (zamówienie na żywność dzień wcześniej). Nawet utarła się anegdota: kiedy wynoszono konającego, ten miał się odezwać, był jeszcze przy pamięci, ja jeszcze żyję, nie wynoście, na to odpowiedź, milcz, doktor lepiej wie!

Patrzając na tę tragedię ludzką myślałem, że w krótkim czasie to spotka i mnie. Byłem bardzo osłabiony, nie mogłem stać na nogach. Nogi były ciężkie, niemożliwością było poruszać się. Problem już był tylko dojść i wrócić z pracy. Często w nocy wyganiano nas zimą dodatkowo do odrzucania śniegu od linii kolejowej. Pewnego późnego wieczoru zimą 1947 r., gdy naszą brygadę wyganiano do śniegu, to już nie mogłem wyjść i oznajmiłem "nariadczykowi", temu co wyganiał do pracy, że nie mogę iść, to wywelekli mnie z baraku, a gdy upadłem to skopał mnie, a następnie kawałkiem deski "garbul" zaczął okładać i tak wyrzucono mnie siłą za wrota obozu i tak powłokłem się z trudem i bólem do miejsca pracy. Poszedłem do lekarza, narówił mnie Surma, Polak z Wołynia. Na moje skargi nie zwracał uwagi, poznać przyczynę mojej słabości było bardzo łatwo. Dał mi dwie łyżki nawaru z róży dzikiej, kazał zdjąć spodnie, dotknął ręką sterczących kości i wypisał mnie tak zwaną "dopełnitelne", to znaczy dobawkę 2 łyżki kaszy czyli gęstej zupy i 10 g oleju. To mi oczywiście nic nie pomogło, poszedłem powtórnie i wtenczas zapisał mnie do OK "oddychajuszczaja komanda" i już następnego dnia do roboty mnie nie wygnali. Po śniadaniu powłokłem się pod kuchnię, może tam coś da się znaleźć do jedzenia. Kiedy tak szukałem czegoś do jedzenia wyszedł kucharz i zaproponował nam, a było nas pięciu, żebyśmy poszli do kuchni, do mycia turnipsu, coś w rodzaju naszej brukwi, wszyscy się zgodzili. Gdy weszliśmy radość ogarnęła na widok jaki ujrzeliśmy: ziemniaki, turnips, buraki, marchew, kapusta. Robiliśmy jak mogliśmy, padając z wycieńczenia i głodu, a jednocześnie jedliśmy kapustę, marchew, ziemniaki krajaliśmy na plasterki i rozkładaliśmy na piec, jeszcze się nie upiekły, a tylko się zagrzały, a już jedliśmy, co za święto mieliśmy. Następnie kucharz przyniósł zupę i kaszę i też zjedliśmy, nie mogliśmy a jedliśmy. To musiałem ciężko odchorować. Pomimo postanowienia, żeby więcej nic nie jeść, a tylko to, co daje, bardzo trudno było to postanowienie wykonać, jeżeli nadarzyła się okazja. Pracowałem w kopalni, kiedy przyszliśmy z pracy z nocnej zmiany poszliśmy do kuchni po śniadanie, zobaczyłem, że Stach tam sprząta, on też mnie zobaczył, zaszekałem aż wszyscy otrzymają. Następnie poszedłem do okna z trzema kociołkami, położyłem ich. Stach wszystkie napełnił zupą, kaszą i rybą, prosił abym za jedną porcję wymienił na papierosa. Zanim on wrócił to ja już wszystko zjadłem. Wprost nie do wiary. Byłem zgłodniały, nie mogłem, a jadłem, nawet nie wymieniłem Stachowi ani jednego papierosa.

Praca w kopalni była bardzo ciężka, w dodatku kopalnia była mokra. Woda wprost lała się na pracujących. Nie było możliwości skryć się. W wodzie trzeba było pracować. Ponieważ kopalnia była początkująca, nową, dużo prac było betoniarskich, które były wykonywane tylko siłą ludzką.

Przy wykonywaniu linii kolejowych w kopalni w chodnikach trzeba było kilofem wybijać w skale miejsca na pokałdy. I tak zmęczony i przemoknięty do ciała wylaźnikiem z kopalni do "suszełki", ażeby tam trochę ogrzać się przy żelaznym piecyku, zanim pogonia z terenu kopalni do obozu. Ubrania, które mieliśmy na sobie, to jest "cieżogrejki", busztaty spodnie watawne nie były zmieniane, to jest w tym samym ubraniu pracowaliśmy i przemoknięci szliśmy do obozu, który był oddalony od kopalni 1-2 km. Lepiej było w czasie letnim przejść tę odległość, natomiast bardzo krytycznie przedstawiało się zimą. W mroźne dni lub noce, 20-40 stopni mrozu, jeszcze na dodatek silnej zawieruchy. W rejonie podbiegunowym, w workucie zawieruchy były bardzo częste. Bardzo często trzeba było stać przed wartownią całymi godzinami, ponieważ nie mogli się doliczyć grupy "katorżników", których wyprowadzali do pracy. Coś gdzieś zasnął, popełnik samobójstwo w kopalni - częste wypadki, albo zginął przy pracy nie zauważony przez kolegów. Bywały też częste wypadki, że konwojenci siedzieli w ciepłym pomieszczeniu i nie spieszyli się do prowadzenia nas do obozu, ażeby w ten sposób jeszcze więcej nas wymęczyć. Szczególnie jeżeli nie był wykoany plan, wtenczas naczelnicy specjalnie kazali w ten sposób z nami postępować. I teraz proszę sobie wyobrazić, przemoknięci stać na mrozie do 2 godzin, a to i więcej, ubranie zmarznęte i taki marsz do obozu, dosłownie nie mogliśmy się poruszać i tylko słyszeliśmy "bystrzej padnijmajsia" na tych co upadli i ujadanie psów. Katorga za cara to jeszcze do wytrzymania było, oczywiście w moim pojęciu w porównaniu z osiągnięciami NKWD w stosunku do nas katorżników. Teraz przeliczenie jeszcze przed obozem, wpuszczanie nas do baraków, otrzymanie posiłku, jeżeli w ogóle można to było nazwać posiłkiem i sen w tym samym ubraniu na gołych narach. Były częste wypadki samobójstw lub kalectw, np. odrabianie rąk lub też częściej kilku palców u rąk, ażeby w ten sposób dostać katorgę inwalidzką. Ja też myślałem o tym. Według opowiadań tych bez palców, to się odbywało w bardzo uproszczony sposób, oczywiście tylko w kopalni. Trzeba było zapalników - brało się w dwa palce podłączało do maszyny, którą odpalano węgiel, podkręciło się do uzyskania prądu - i dwóch palców nie ma, a to i trzy mogły być oderwane. Co prawda do zapalników mieli dostęp tylko wolni, przeważnie Niemcy, tak zwani "zapalszczyki", ale skombinować było można, oczywiście nie wszystkim. Ponieważ nie miałem dostępu do tych zapalników, postanowiłem w inny sposób, mianowicie palec u lewej ręki umyślnie włożyłem w tryb "lulki" (specjalny wagon, którym wyciągano węgiel lub też kamień na hałdy i tam wywracano). Alec był zmiażdżony myślałem, że będą amputować. Mało tego, gdy z palcem się nie udało, próbowałem złamać lewą rękę. Gdy w pracy byłem sam wziąłem cegłę i uderzając w rękę, chciałem w taki sposób złamać rękę i to się nie udało. Uderzyłem kilka razy, ból straszny, ręka zsiniała i obrzękła, miałem dwa tygodnie zwolnienia. Więcej już nie próbowałem, chociaż patrząc na więźniów bez rąk, czy też bez kilku palców u rąk, którzy nie pracowali zazdrościkiem i bardzo, szczególnie tym, którym było tylko paru palców brak. Niektórzy mieli trochę lepiej, pracę lżejszą, nie byli głodni, ale to był mały procent tych szczęśliwców. Co prawda w jednym i tym samym obozie, a każdy miał inne warunki, inaczej przeżywał tę katorgę.

W końcu 1947 r. czy początek 1948 r. otrzymałem pierwszy raz bieliznę. Dotychczas to nosiłem bieliznę w jakiej przyjechałem, co prawda to nie można było nazwać już bielizną, ale tylko szmatą przez siebie łataną, śmierdzącą od prowierki. Wszy też nie były nowością, mieliśmy ich pełno, pomimo częstych dezynfekcji. Otrzymanie w kaźni nowej bielizny sprawiło wielką radość. Otrzymaliśmy także mniej więcej w tym czasie ubranie drugie do pracy w kopalni. Mało tego, otrzymałem także worek, do którego napychałem wiór z drewna i to miał być materac pod głowę, coś podobnego, tylko w mniejszym rozmiarze. Natomiast jeśli chodzi o odżywianie, to nic się nie polepszyło, ciągle byliśmy zgłodniałi i wycieńczeni z głodu i pracy. Pamiętam jak w kwietniu 1948 r. musiałem pójść już będąc w pracy na terenie kopalni do technicznego składu po narzędzia potrzebne w kopalni do układania tam torów. Podczas nieobecności ~~maszynistki~~

magazyniera udało mi się wziąć do papieru trochę smaru do maszyn. Coś podobnego do towofu - był gęsty. Cóż to była za uroczystość po powrocie z pracy. Ze Stachem roztopiliśmy to w kociołku i ostrożnie maczając chleb jedliśmy. Skojarzyliśmy to ze "Świętem Wielkiejnocy, ponieważ najczęściej w kwietniu było. Nie wiedzieliśmy kiedy miało być święto, czy już było. Obawialiśmy się, że może to zaszkodzić, nawet myśli były, że można było przepłacić to życiem, ale złód przewyciężył strach. Nie chorowaliśmy po tej libacji. Jedliśmy to bardzo ostrożnie i z rozwagą rozłożyliśmy to na kilka dni.

Ażeby nas łatwiej było utrzymać w porządku, z drugiej strony jak najwięcej z nas wyciągnąć, jeżeli chodzi o pracę, pojawiały się w pewnych odstępach czasu tak zwane "pewne" plotki oczywiście puszczone przez NKWD, a to że będą nas zwalniać, a to że w ZSRR będą zmiany ustroju itd, itd. Bardzo dużo plotek było w pierwszych latach naszej katorgi, potem to już spowszedniały i nikt nie wierzył.

W połowie 1948 r. zaczęły krążyć plotki o tworzeniu "reczłagów", do których mieli wywieźć katorżników. W łagrach mieli być tylko kryminaliści "zakluczeni". Właśnie 17 kopalnia miała być łagrem. Już wczesną jesienią zaczęli nas wywozić. Żal, a zarazem strach mnie ogarnął, że trzeba będzie opuścić tę kopalnię. Skoro w łagrze to jest na 17 bardzo ciężkie były warunki życiowe, to co dopiero w "reczłagach", tak sobie myślałem. Następnie żal będzie rozstawać się z rodakami, a może nawet z bratem. Polonia w obozie 17 była mała. Pamiętam ś.p. Zygmunta Kierzuja (?), którego musiałem znać na wolności, ponieważ był on w czasie konspiracji związany z Turgielami i okolicą w dawny powiecie Wileńsko-Trockim i właśnie na tym terenie były placówki konspiracyjne pod moją komendą. Dlaczego nie poznałem w obozie? Może dlatego że się bardzo zmienił i na przeszłe tematy nigdy nie rozmawialiśmy. Było też kilku Polaków, którzy się nie przyznawali że są Polakami sądząc, że może lepiej będzie przetrwać katorgę. Była grupa, co bardzo trudno było wywnioskować, kim właściwie oni są. Było paru co mówili, że są Polakami - lecz sądzeni jako kryminaliści. I wreszcie grupa Polaków, którzy prawie nie rozmawiali po polsku, nie umieli, a byli sądzeni za przynależność do AK. W rozmowie w cztery oczy podkreślali, że są Polakami, chętnie garnęli się do nas, oburzali się, jeżeli ich nie uważano za Polaków. Żal było "chleborezki" (chleb wydawano), pracował jeden z Polski, prawdopodobnie ksiądz, chociaż nigdy na ten temat nie rozmawiałem, odmawiał brewiarz, po tym sądziłem, że był księdzem. Jeżeli nadarzyła się okazja, to zawsze dał kawałek chleba, względnie swój talon na obiad. Wreszcie nawet żal mi było mojego małego scyzoryka, w jaki sposób go zdobyłem to już nie pamiętam, a był bardzo potrzebny. Podczas rewizji nie da się go nigdzie ukryć. Każdego dnia odchodziły etapy do reczłagów. Pogłoski, że będzie jeszcze gorzej w tych reczłagach jak było obecnie na 17-tej, dobijało to nas, traciliśmy nadzieję na przetrwanie tej katorgi. Wreszcie przyszła kolej i na nas, to jest na mnie i na Stacha, nie rozłączyli nas. Razem zabrali nas do izolatora i tam siedzieliśmy przez całą noc. Następnego dnia we wczesnych godzinach, po szczegółowej rewizji wynieśli nas z obozu do wagonu, który stał już przygotowany. Przewieziono nas na Kapitałną, czyli pierwszą. Była to kopalnia "niekategoryjna" to znaczy duży procent gazu i trudna w eksploatacji. Dowiedziałem się, że kopalnia, na której warunki pracy były trudniejsze, to reczłagi, natomiast na nowych kopalniach lepsze warunki pracy - łagry N 17 (?) Był duży procent kryminalistów i tym samym "prydureków", więźniów nie pracujących kosztem innych. Zakluczeni kryminaliści "Błatnyje", "pryduki" to była plaga i trzeba było bardzo uważać, żeby się im nie narażać, trzeba było nieraz znosić wszelkie upokorzenia, żeby tylko cało wyjść z życiem. Ten element pozbawiony był wszelkich skrupułów, zdolni do wszelkiego rodzaju sadyzmu. Pewnego dnia przyjęli etap w liczbie około 200 osób, sami kryminaliści i już trzeciej nocy zarabali kilku kucharzy i okradli skład żywnościowy. W naszym baraku siedział jeden "błatnoy". To grał w karty z innymi takimi jak on, zawsze przegrywał, aż wreszcie przegrał jednego z kucharzy - musiał go zabić, nie wykonał tego, wobec czego, jego zabili, raczej zakłuli, 19 ran nożami. Byli w bardzo dobrych stosunkach z NKWD, wszędzie prawie uchodzili bezkarnie. Mieli dobrą łączność z innymi obozami. Była to zresztą warstwa uprzywilejowana. Na ka-

pitalnej tego elementu było mniej, raczej bardzo mały procent. Natomiast bardzo duży procent Ukraińców z naszych terenów byłych. Byli bardzo wrogo usposobieni do nas, Polaków. Pamiętam parę miesięcy po przybyciu na Kapitałną chorowakem. Umieszczono mnie w baraku izolatora dlatego, że nie była ustalona diagnoza choroby i że przybyłem z innego obozu. Leżąc tak między Ukraińcami słuchałem ich opowiadań o wyczynach sadystycznych wobec Polaków. I tak szczególnie jeden dał mi się zapamiętać. Opowiada Piotr Sawczuk:

"Wysłano nas do wymordowania rodziny Polaków, która miała mieszkać w pobliżu wsi na zaścianku, gdy przyszli, opowiada, zastali rodzinę prawie w komplecie i wkrótce przystąpili do mordowania. Nie strzelali, bo, jak opowiadał, szkoda było kul na Lachów, tylko toporami, siekierkami. Po wymordowaniu rodziny okazało się, że nie mogli znaleźć jednej z córek tej nieszczęśliwej rodziny. Nie było jej w tym czasie w domu. Nazajutrz, opowiada dalej, dowiedzieliśmy się, że przyszła ~~z~~ ze znajomymi, krewnymi, pogrzebała pomordowanych i normalnie mieszkała w swoim domu. Wtenczas oni, tj. Ukraińcy, otrzymali rozkaz, jak opowiada, ze sztabu, żeby pójść i przyprowadzić ją do tak zwanego sztabu. Gdy przyszli, zastali ją w łóżku, wstawaj, wykrzykiwali, lecz ona jak gdyby nie rozumiejąc nic, nie wstała. Powtórzyli "wstawaj suko!" Ze strachem wstała, ubrała się, a na nogi wciągnęła polskie "tufle" na wysokich kablankach". Zaprowadzili ją do sztabu, w sztabie coś z nią porozmawiali, a następnie wyprowadzili ją na krylco-ganek i dali znać, żeby ją zamordować. Ciągnęli ją do lasu dębowego i tam kazali kłaść się jej na pień dębowy. Zaczęła płakać, prosić, całować nogi. "Kładź się suko", tymi słowami siłą kładą na pień, przyciskają nogami, przeszywają bagnietami. Może jeszcze coś więcej opowiadał, zamroczyło mi coś w głowie z tego, co usłyszałem. Jeden z oprawców wypowiedział ironicznym tonem: "Lach" wskazując na mnie palcem. Bardzo często trzeba było znosić upokorzenia, słuchając opowiadań, coś w rodzaju wyżej wymienionego, nie można było przeciwstawić, ponieważ naraziłoby to na większe jeszcze szkany.

W kopalni, przy naprawianiu torów pracowałem z jednym Ukraińcem. W pewnej chwili podchodzi kilku tych i mówią: "Co ty z Lachem pracujesz?" i bez żadnej przyczyny uderzyli mnie w twarz kilka razy, straciłem przytomność. Po odzyskaniu przytomności otarłem brudnym rękawem twarz z błota, krwi i łez. Musiałem pracować dalej, nie mogąc nawet podzielić się z kimś swym bólem fizycznym i moralnym. Innego znowu dnia w kopalni Netrepski Stefan podchodzi i wrzeszczy: "ty polska mord, musisz lepiej pracować!" i uderza kilka razy w skroń, w twarz. W głowie szum, w oczach łzy. Żeby zaciśnięciem nie mówiąc ani słowa, ponieważ to naraziłoby na jeszcze większe szkany i bicie. Co prawda, nie można powiedzieć, żeby takie sceny z Ukraińcami działy się wszędzie. W brygadach, gdzie było po kilku Polaków plus do tego inne narodowości, które przyjaźniły się z nami, albo chociaż nie byli wrogo ustosunkowani do nas jak Estończycy, Finowie (mało było) Węgry, Rumuni, Lotysze, Litwini, narody zakaukaskie. Tylko z tymi ostatnimi to trzeba było umiejętnie żyć. Jeżeli darzyli zaufaniem, nie można było im się w niczym narazić, trzeba było szanować ich kulturę, zwyczaje i obyczaje, a wtenczas miało się dobrych przyjaciół. Nie odczuwało się tych banderowców na pracach, szpitalach, magazynach, wewnątrz obozu. Właściwie takie historie, opisane wyżej, działy się, jak mówi Rosjanin, na "obszycznych rabotach".

Ponieważ bardzo dużo nas, katorżników już wychiłało do 1943 r., wobec czego po przewiezieniu nas na Kapitałną zostaliśmy przenieumerowani, ja otrzymałem nr T 255, Stach T 254. Nas, Polaków było dosyć sporo, rozproszonych po całym obozie, tak że trudno mnie ocenić w liczbach. Ci, co pracowali w obozie - w zonie mieli warunki lepsze. Ci spotykali się z sobą przy każdej okazji. Natomiast pracujący w kopalni czy bud-

wnictwie i ogólnych pracach, mniej lub też w ogóle unikał wszelkich kontaktów. W "Chlebsarkie" pracował Załuga(?), podający się za wielkiego patriotę, Polaka. Czasem chodziłem do niego, żeby zarobić na kawałek chleba. Szybko zorientowałem się, że to czarny typ współpracujący z NKWD. Zaprosił mnie na spotkanie naszych rodaków, które miały się odbywać według niego dosyć często, wymieniając nazwiska tych, którzy przychodzili na to spotkanie na czele z naczelnikiem, czy jak ją tytułować "specerasci", która miała na imię Wanda, miała być z rodziny polskiej, według Załugi. Co, jak się okazało później, był to oszukańczy podstęp. Na propozycję Załugi, żebym przychodził na to zebranie posłuchać patriotycznych wierszy, zawsze dawałem odpowiedzi negatywne, ale nie zrażając go do siebie, ponieważ za każdą pomoc przy sprzątnięciu płacili jedną pajką chleba, a nawet i dwie. W czasie aresztowania, oczywiście i przed aresztowaniem za te zbiórki Załuga starał się, aby jak największe grono popadło w więzieniu do więzienia, dlatego tak gorąco zachęcał mnie do udziału w tych patriotycznych zebraniach. Popadł też mój brat Stach do więzienia, który go nawet nie znał, lecz Załuga imiona pokręcił i zamiast mnie, to jest Czesława, podał Stacha. Już od tego momentu nas rozłączyli. Spotkaliśmy się dopiero po zwolnieniu nas z więzienia. Na Kapitałnej warunki życiowe były może trochę lepsze jak na 17, właściwie może lepszy był porządek na kuchni, ale żeby zaspokoić głód, trzeba było jeszcze czekać parę lat. Kiedy przychodziłem z pracy zmęczony, głodny i gdy już siedziałem na swoich narach, to często przysiadł się do mnie na przyjacielskie pogawędki "Wiewolny" baraku, nauczyciel ukraiński gdzieś od Kijowa. Nic nie miał wspólnego z Ukraińcami z naszych terenów. Mówił często, raczej powtarzał Czesław Stanisławowicz "nada umieć żyć w Sowieckim Sojuszu", myślałem jak to umieć żyć. On robił "mostyrkę" na nodze, otrzypywał tytoń z domu, sprzedawał na kuchni i magazynach, nie pracował, ponieważ miał kategorię inwalidzką, najedzony, czysto ubrany, wypoczęty, a ja jak mogłem umieć żyć, w przeciągu całej odbytej katorgi, to jest przez 11 lat otrzymałem tylko 3 paczki w pierwszych latach katorgi, "mostyrki" nie chciałem robić, właściwie zaniechałem od chwili kiedy to na 17 próbowałem odciąć palec z lewej ręki, a następnie zamać rękę. Uważałem, że mnie nic nie zostało, tylko cierpliwie znosić to, czym mnie los obdarzył, to jest katorga, czekać jakiegos zmiłowania.

W niedługim czasie po rozstaniu się ze Stachem, uległem wypadkowi w kopalni. Pracując przy przedkubaniu chodnika, przywaliło mnie. Z kopalni wynieśli nieprzytomnego. Miałem złamaną ręką, 4 żebra w prawym boku i płuca przebite. Przytomność odzyskałem po 20 godzinach. W szpitalu położyli mnie obok Roszkowskiego Władysława, który w tym czasie był w szpitalu. Całą noc się mną opiekował, przewracał, sadzał. Oprócz bóli ciężko było oddychać, ponieważ krew szła ustami. Opiekę lekarską miałem dobrą. Nasz lekarz, s. p. doktor Dobrzański, Szczerski, Litwin Żwirblis no i główny lekarz NKWD Taburowa (?). Mówili, że była Żydówka ze Lwowa, nie wiem ile było prawdy, fakt jest, że do nas Polaków odnosiła się dobrze. Żeby nie było zakażenia otrzymywałem zastrzyki co 3 godziny. Po paru miesiącach ręka była już prawie w porządku. Płuca natomiast przez długi czas nie pompowały powietrza. Dopiero po operacji coś się polepszyło. Jednak skutki tego do dzisiejszego dnia odczuwam. Dostałem kategorię inwalidzką i pracowałem w szpitalu przy doktorze Dobrzańskim. Już nie byłem głodny, starałem się tylko teraz, żeby pomóc swoim w czym mogłem - kawałkiem chleba lub czerpakiem zupy.

W kilka miesięcy później po wypadku, do obozu przygnali 3 uciekinierów. I nie byłoby nic do czego, tylko to, że po raz pierwszy postąpiono z uciekinierami w sposób ludzki. Prowadzali przez kilka godzin po obozie, ażeby pokazać katorżnikom, że jednak przed NKWD nikt nie ucieknie. Z kopalni uciekli, jak się okazało przez cały rok kopali wyjście, udało się co prawda wyjść, ale daleko nie odeszli i już byli w łapach NKWD. Próby ucieczki na 17 były 4, jednak żadna nie doszła do skutku, to jest udało się uciec, ale po krótkim pościgu zawsze wynikiem byli w NKWD. Z uciekinierami postępowano zawsze w sposób bardzo nieludzki, sadystyczny, nie zabijano, lecz męczono, to było widoczne na trupach, ręce i nogi powy-

ręcane, połamane, ciężarów sińcach. Następnie te trupy wyrzucano za
bramę do obozu i leżały tak kilka tygodni, ażeby wzbudzić postrach u
więźniów. Dlatego postępowanie z uciekinierami na Kapitałnej wzbudziło
zainteresowanie. Oczywiście co dalej z nimi zrobiono zostało dla mnie
tajemnicą.

Po śmierci Stalina warunki życiowe zaczęły się poprawiać, chociaż
w bardzo wolnym tempie. Natomiast wyraźnej poprawie uległo nasze życie
po stronięciu strajku na niektórych kopalniach. Miało zginąć około
400 osób. Według pogłosek to też mniej więcej w tym czasie w obozach
nieworskuckich, jeszcze dalej wysuniętych na północ, miały być rozruchy
na większą skalę, doszło do buntów.

I/926

Kopier